Ner 51. Kraków, 23go Grudnia. 1862.

ROK III.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	6 zł. — c. w. a.
Półrocznie .	3 „ —
Kwartalnie .	1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie .	— „ 50 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie .	5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie .	2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie .	— „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie .	3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie .	1 „ 80 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie .	5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie .	2 „ 85 „ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Królestwa Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr.
Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza. —Rękopismów redakcya nie zwraca.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

Wychowanie Rodzinne.

List X, Wojciecha z Medyki.

(Zobacz Nr 42, 43, 47, 48 i 49).

IV.

Zaglądnijcie Panie do dziejów ojczystych, boć z temi znać powinnyście się koniecznie, jako Polki, a znajdziecie w nich, czemto były rodziny naszych praojców i jakieto było życie rodzinne w ojczyźnie, i jakieto dzieci wychodziły na jaw z tych kryjówek i zakątków? Oto życie nasi praojcowie pogańscy według świadectw dawnych, wiedli w rzeczypospolitej mnogich gmin, składających się z rodzin rozsianych na tych polach, na których dziś nasz pług przewraca skibę. Każda gmina, to państewko wolne, a każda rodzina to kółko i ogniwo w tej gminie wolne w sobie, jeno potrzebami fizycznemi związane z całą gminą, t. j. z innemi pokrewnemi rodzinami. To też władza ojca była tu wszystkiem, niewiasta jako poganka nie zajmowała swego właściwego miejsca. Alež wielka zachodziła różnica między pogaństwem naszych praojców, a pogaństwem innych ludów — boć inne ludy pogańskie to typy barbarzyństwa nieskrępowanego niczem, albo obrzydłego niewolnictwa; a pogaństwo naszych praojców to noc ciemna wprawdzie, ale ogrzana sercem, boć u nich nie było barbarzyństwa i niewolnictwa, na jakie się pogański świat zdobywał. U pogan górował przewrotny i wyrafinowany rozum zimny i samolubny, a u naszych praojców biło w piersi gorące serce, rozumie się bez żywiołu wiary św. To też gminy i rodziny praojców naszych podobne do owej letniej nocy, w której miłe ciepło i miły chłodek otacza rodzinę, siedzącą pod lipą, a w braku słonka panuje brzask na około. Nasi praojcowie mieli więcej serca, więcej człowieczeństwa w życiu swojem od innych ludów, dla tego też i ciepło naszej ś. wiary przyjęło się w ich sercach czułych bez rozlewu krwi i wojen. I my wszyscy Polacy odziedziczyliśmy od praojców naszych tyle uniesień i wybryków serca obok braku zimnego, obliczającego i upornego w pracy rozumu. To też i dzieje naszych ojców ochrzczonych są pełne szlachetności i ofiar dla drugich, a najczęściej bez skrupulatnego rachunku dla siebie, to też ze skarbca serca polskiego brał cały świat perły i dyamenty, i płacił mu podłą niewdzięcznością. Całe urządzenie dawnej Polski: to dzieło serca raczej, niż rozumu. Król: to ojciec milionów dzieci; dawał bez rozlewu krwi dzieciom, czegokolwiek zażądały, on też nazywał się: jego królewska miłość! A naród cały, na czele którego stała szlachta, to jakby jedna rodzina serdeczna, podobna do owego mrowiska, gdzie każdy stan miał swoje czynności święte i pełnił je serdecznie, gorąco, z uniesieniem bez oglądania się na jutro. To też staro-polska rodzina chrześciańska była, jest i będzie wzorem nietylko dla nas samych, ale i dla obcych. Tam był ojciec obywatelem, ale i ojcem; był obywatelem na sejmie, wojnie w potrzebie kraju i sąsiada, a wróciwszy do domu płakał z radości na widok małżonki i dziatwy zdrowej, albo płakał nad grobem rodzinnem, i pocił się na roli o zarobek dla rodziny swej i czuł się tak wolnym i szczęśliwym w gronie rodziny swej, jak ów Salomon w bogatym pałacu, przy śpiewie tych piosnek, które sam ułożył, i które mu śpiewano. Tam była i matka obywatelką, ale i matką, boć blask męża otaczał ją zarówno, ale i w domu miała władzę najwyższą nad domem i dziatwą, kiedy mąż uganiał się po sejmach i wojnach, albo też dzieliła się tą władzą z mężem, kiedy on wrócił do domu i zasiadł spokojny na grzędzie ojczystej. To też w staro-polskiej rodzinie spoczywała potęga narodu, z grona rodzin wychodzili gotowi senatorowie, gotowi królowie, a te wielkie postacie wyglądały jakby jedną ręką wyciosane marmury, jakby jednej wielkości, jednego wzrostu, z jedną wolą i jednakiem sercem od jednej matki wychowane dzieci. Ta jedność płynęła z solidarności rodzin, z jednakowego prowadzenia dziatek, i chociaż matki nie znały systemów pisanych o wychowaniu, znały bojaźń bożą, litość dla każdego, znały przykład i żywoty świętych i żywot Zbawiciela na palcach; znały żywoty tych, których zasługę w narodzie i chwałę opisywały dzieje. Począwszy od dzieci króla aż do dzieci szlachcica-rolnika było wychowanie proste, naturalne, narodowe, oparte na Bożej bojaźni, na sumieniu, na pobożności i zacności, jaka przystoi człowiekowi ochrzczonemu i wiarą przejętemu. Te staropolskie rodziny: to granity, to piramidy nasze, to świętości, o jakich nam trudno urobić sobie dokładne pojęcie. Tam płynęło życie szerokim prądem na chwałę Bożą i pożytek narodu; tam rosła dziatwa zdrowa na ciele i duszy, jakby ta pszenica sandomirska, ale jeno po swojemu — na krój narodowy. Tam matka każda: to święta pracownica, to pszczoła w ulu narodowym, to kapłanka: bo służyła Bogu i narodowi, a niosła w ofierze dziatwę swą na ołtarze Boże i ojczyzny. To też nieraz dowiadywał się naród o matkach cichych i ukrytych z czynów ich dzieci, gdy te wyszły na widownię z ukrycia lub prostego dworu wiejskiego...

Zaiste rodziny zacne założyły gniazda wielkie, które do dziś świecą ozłotą cnót i zasług, i któremi napawają się dzieci nieraz niedołężne w późnem już pokoleniu. Zaiste ojczyzna nasza, to grupa rodzin najzacniejszych na początku! I im dalej od tych rodzin ku nam pójdziemy myślą, tem bardziej szarzeje jasny błękit w ży-

ciu potomków. A dla czegóż? Wina ciąży na niewiastach polskich, bo one zeszły z wysokiego pola dawnych matron naszych i pobrukały czyste ściany dworków polskich obczyzną i grzechami i wadami obcemi! A za matkami poszła w polot płocha dziatwa, i zanieczyściła do reszty święte staro-polskie progi rodzinne! O niewiasty polskie! wy macie zmyć te obce narośle na gniazdach waszych dziadów! wy macie umaić te gniazda stare kwiatami cnót odnowionych! Wy macie być niczem innem, jeno polskiemi matronami! Zrobicie to, jeżeli zechcecie, i będzie tak, da to Bóg dobry.

KONIEC.

JOANNA ARK,

czyli

DZIEWICA ORLEAŃSKA.

(Ciąg dalszy).

Miasto jedno po drugiem poddawało się, i sam Paryż nie wyglądał na to, aby się mógł opierać. Miasto *Beavais* przeszło na stronę królewską i wygnało biskupa z burgundzkiej partyi, co wyjaśnia jego wściekłą zawziętość przeciw Joannie. Niektóre opierające się miejsca zdobyto szturmem, a między niemi *Chatau Gaillard* pod dowództwem La Hira, który uwolnił dzielnego *Barbare*, rycerza bez bojaźni i nagany, który przeciw prawu narodów już dziewięć lat jęczał w okowach.

Nakoniec król postanowił iść na Paryż. Dziewica i w nowych walkach była zawsze na przedzie, ale już nie odzywała się z natchnieniem do wojowników, i szczególniej poddała się smutkowi wtedy, gdy jej stary miecz z *Fierbois* nagle prysnął. I to ją dotknęło, że przedtem tak wierny jej paź, Ludwik de Contes, nagle i potajemnie zniknął.

Paryż gotował się tymczasem do uporczywej obrony. Karol zmarnował niepotrzebnemi zwłokami najpogodniejsze chwile. Joanna, obawiając się złego końca, życzyła sobie pozostać w *St. Denis*, lecz znaglono ją do dalszego pochodu.

Natarcie rozpoczęto od niezbyt mocnej bramy *St. Honoré*. Joanna i tutaj była na przedzie; udało jej się nawet wydrzeć jednemu Anglikowi miecz. Zaczerpnąwszy ztąd nowej odwagi poprowadziła przez faszyny hufce za pierwszy okop. W drugim było pełno wody. Zmierzywszy głębokość lancą, kazała i ten zapełnić faszynami. Z tego miejsca wzywała sama przeciwników do poddania się; lecz odpowiedziano jej słowami zniewagi, i przeszyto jej strzałą nogę. Joanna cofnęła się do pierwszego suchego okopu i tam się położyła. Paryżanie podwoili ogień, a Karol przerażony przygodą Joanny, nakazał odwrót. Richard de Melbronne miał się postarać o przeniesienie dziewicy na bezpieczne miejsce, lecz ta, niechcąc przeżyć klęski swego narodu, niezezwalała na to. Książę alençoński kazał ją przeciw jej woli o 10ej godzinie wieczór zabrać, Francuzi cofnęli się aż do *la Vilette*.

Nazajutrz 9go września 1429 znowu błagała Joanna o dymisyą; lecz zaklinali ją wszyscy aby została. Poddała się woli królewskiej, swoją broń, srebrny pancerz i zdobyty miecz poświęciwszy patronowi Francyi i złożywszy u głównego ołtarza w *St. Denis*. Król postanowił cofnąć się aż do brzegów Loary. Smutno z wojskiem postępowała Joanna. Tak odwrót jak i daremne zabiegi, aby księcia Filipa burgundzkiego przyciągnąć na królewską stronę, mocno ją trapiły.

Anglicy nabrali nowej otuchy. Obsadzili St. Denis, gdzie nawet kościół i groby królewskie zrabowali. Tą drogą przepadły i wotywy Joanny, której gwoli już w owym czasie wyszły cztery pisma udowodniające, że z czartem nie jest w żadnym sojuszu. Burgundczyk, przeciwny zgodzie z Karolem, usłuchał przecież namów dziewicy i pogodził się z małżonką swoją.

Dnia 16go stycznia 1430 r. nadał Karol dziewicy dla niej i potomstwa jej w Melun sur Gevre szlachectwo. Ona wprawdzie nieużywała nigdy klejnotu. Braciom jej zaś nadał król za herb prosto stojący miecz w niebieskiem polu, po którego prawej i lewej stronie było po dwie złote lilie.

Ztąd później rodzinę tę nazywano d' Arc du Lys albo Dulys a nawet Dalys. Wybito nawet z królewskiego rozkazu na cześć jej osobny pieniądz. I innych darów dla niej król nie szczędził. Ale dziewica do niczego tak nie lgnęła, jak do złotego od rodziców darowanego pierścionka, na którem obok imienia Jezus były wyrznięte trzy krzyże.

Umysł dziewicy stawał się coraz posępniejszym, jak gdyby rychłą śmierć przeczuwała. Twierdziła, że na zielone świątki w Melon święci pokazali jej się i oznajmili, że jeszcze przed św. Janem wpadnie w ręce nieprzyjaciół. Lecz męztwo dziewicy nieustało i spełniła jeszcze niejeden czyn waleczny.

(Dok. nast.)

Druchna.

Obrazek z roku 1846.

(Ciąg dalszy).

Za ogrodem i dworskiem obejściem był dosyć jałowy wygon gromadzki, który, okalając wieś z jednej strony, klinem ostatnim dobiegał aż do lasku, na którego jednym rogu nieco opodal od wsi stała chata Tomka. Drugi koniec niewielkiego lasku brzozowego uwieńczało małe wzgórze panujące nad szeroką i rozległą doliną. To było najpiękniejsze miejsce tej całej, jak już mówiliśmy, dosyć płaskiej okolicy. Na samym wzgórza szczycie kilkanaście brzóz wysmukłych, o rozłożystych ku ziemi pochylonych konarach, tworzyło ciche i spokojne ustronie pełne chłodu i zieloności, mające ten wdzięk wiejskiej samotności, umysły wrażliwe pobudzającej do marzeń i poezyi. Środkiem wygonu po nad strumykiem, w lecie suchym zwykle, po pod skąpo rozrzucone wierzby przebiegała ścieżka, którą, omijając wiejskie obejścia i ostatnią Zaleśnego chatę, można się było od dworskiego ogrodu dostać prosto do zielonego ustronia. Owóż ta ścieżka, dawniej zarośnięta i mało uczęszczana, codzień wybitniej z niskiej murawy występowała.

O ranku, gdy już słońce zaczynało się wyżej podnosić i staczać walkę zawziętą z perłami rosy tak cudnie błyszczącemi, można było widzieć Kazia, jak w najsamotniejszem miejscu przesadzał płot ogrodowy żywym rzutem. Tuż za nim zabielało coś, i jednym skokiem przelatywał za nim wierny wyżeł biały jak mleko, o kędzierzawych uszach żółtych. Fido poszczekiwał radośnie, i byłby się rad całem ozwać gardłem, ale posłuszny pańskiemu skinieniu przytłumionem tylko skomleniem radość swą okazywał. Ale za to rażnemi skokami klikakroć tam i napowrót biegnąc, sadził to ścieżką wprost, to dziwne po murawie wygonowej znaczył arabeski.

I pan i piesek jego szli prędko, jakby im bardzo było spieszno, a gdy pierwszy dobiegł wyżeł pomiędzy brzozy, zmyślne oczy obracał do pana, i każdego ruchu jego śledząc, z takim nań patrzał wyrazem, jakby tuż miał przemówić. Kazio się uśmiechnął, pieska pogłaskał, i okiem ledwie skinął, już pies zniknął w gęstwinie gaju brzozowego. Młodzieniec zdejmował strzelbę jaką miał zwykle przy sobie, i zawiesiwszy na drzewie, sam się opierał o narożną brzozę, i stał na pół uśmiechnięty, na pół zamyślony. Kazio był wówczas piękny, nie tyle regularnemi rysami, blaskiem oczu i świeżością lica, po którem jak po brzoskwini lekki ledwie unosił się meszek; ile tą czystością myśli i uczuć, która mu się promieniła, niepokalana jeszcze, na czole i serdecznym wdziękiem igrała przy ustach.

Minęło chwil kilka, chwil niewiele, i już coś zaszeleściało w krzaczkach, coraz bliżej i bliżej. Ciche ale radośne ozwało się skomlenie, zielone morze trawy i liści pofalowało się białemi cętkami, i jak szalony pędził Fido prosto do pana, i skoczywszy na niego podsuwał głowę, czekając na spodziewane i zasłużone poglaskanie, które też go nigdy nie minęło. I znowu coś zaszeleściało tak lekko, jakby powiew wiatru przebiegł przez liście zielone; Kazio wyskoczył naprzód, i z po za brzozy, z po za zielonej występowała lekkim ale spiesznym bieżąc krokiem Tomkowa Marynia, taka zdrowa i śliczna, istne malowanie nie ludzkiej ale boskiej ręki, która swe dary najhojniejsze rzuca za równo między dzieci ludu, jak i między pańskie potomki. Marynia niebyła piękną tą jakąś pięknością idealną i regularną, na której ocenienie potrzebujem estetycznej miary Winkelmana, lub innego tego rodzaju twórcy teoryi. Ona miała rysy proste, grube nawet, ogorzałe nieco, ot tak chłopskie sobie, na których przypomnienie salonowiec a mianowicie dama salonowa gotowa nosem skrzywić pogardliwie. Niech sobie krzywi zdrowa i szuka idealnych albo wymokłych piękności; Marynia, dziecię chłopskie, mimo włosów barwy lnu jasnego, i twarzy zanadto pyzatej, a ust może za wielkich, a przynajmniej nie sznurowanych gwoli mody i przyzwoitości, była piękna bo hoża, piękna wreszcie tym wyrazem serdecznej prostoty, którą salony tak chętnie mianem głupoty ochrzcić by chciały, jakby same tylko posiadały przywilej wyłączny rozumu. A tem czasem tak nie jest. U naszego ludu pod wyrazem prostoty chowa się najczęściej wielka pojętność i zdrowy rozsądek, który często gęsto stokroć wart więcej od chorobliwego rozumu. I to właśnie największym było wdziękiem Maryni, że jak z piersi na usta bił wyraz poczciwej serdeczności, tak w oczach odbijała się chwilowemi połyskami jakaś myśl głębsza, krasząca cudownie chłopskie dziecię. W tem nawet Marynia może była wyjątkiem. Dla czego nim była, dowiemy się wnet, skoro posłuchamy ich rozmowy.

Przywitanie ich było przyjacielskie, serdeczne nawet; ale naturalne. Uśmiechnęli się do siebie, przypatrzyli tak razem sobie oko w oko, że zaprawdę do duszy by sobie wzajem zajrzyć mogli. Ot i całe ich przywitanie. Czasem porwali się za ręce, dziecinne przypominając sobie czasy, i zacisnęli dłonie tak krzepko, aż się im śmieszno obojgu robiło, że ten uścisk był tak mocny— prostacki!... mruknie jakie blade stworzenie. Żywa łączyła ich przyjaźń; o innem uczuciu nie mogło być mowy, bo ona w 15m, a on w 17m roku, byli prawdziwemi dziećmi jeszcze; chyba że się im od serca do serca snuła nić wzajemnej sympatyi, której jak okiem widzieć nie mogli, tak i duszą nie przeczuwali.

Była to ich schadzka codzienna, bez której, choć sobie z tego sprawy nie zdawali, żyćby nie mogli, tak się do tego przyzwyczaili, tak im było miło być razem. Do tych schadzek przyszło z początku wypadkiem, a potem przez przyzwyczajenie, mianowicie gdy się stały niepodobieństwem w chacie dla coraz opryskliwszego humoru Tomka, którego stosunki z dworem zupełnie już zerwanemi były. Legawy pies Kazia był im posłańcem wiernym. Przebiegłszy lasek umiał tak zręcznie pojawiać się koło chaty Tomkowej, że go pewnie postrzegła wyglądająca już Marynia, i będąc zupełną panią swojej woli biegła co prędzej, by panicza zobaczyć i posłuchać go mówiącego; bo już to w tej mierze panicz wydawał się wiejskiej dziewczynie doskonałością i rozumem największym. Nigdy im to nawet przez myśl nie przeszło zastanawiać się nad nieprzyzwoitością takich schadzek, lub nad śmiesznością sposobu jakim się schodzą za pomocą pieska, który dziewczynę do schadzki prowadzi.

— Poczciwy Fido!... — mówiła z uśmiechem do Kazia. Dziś się zaczaił za płotkiem, gdym grządki kopała, i nagle — ja się patrzę, a jego uszy żółte sterczą i ruszają się między patykami naszego płotka. Rzuciłam łopatę, skoczyłam przez płot i już tu jestem!...— mówiła śmiejąc się, i przycisnęła ręce do piersi nieco zadyszanych.

— Dla czego ty Maryniu, sama kopiesz grządki, kiedy macie dziewkę?

— Cóżbym robiła mój złoty paniczu!... Samiście mówili mi nieraz, iż praca to już przeznaczenie człowieka, od samego Boga pochodzące.

— Dobrze mówisz moja Maryniu poczciwa!... mnie tylko żal ciebie czasem, bo my już tak do próżnowania przyzwyczajeni.

— A czegóż wy mnie żałujecie!...

— Że cię słońce pali! — odpowiedział po chwilowem milczeniu.

— O mój dobry Boże!... cóż w tem złego!... Moje słoneczko jak mi dobrze przypiecze, to ja pobiegnę do naszej zimnej krynicy, i zanurzę głowę, i obmyję twarz i czoło gorące. Jak to zdrowo paniczu!... i zawsze chce mi się wtenczas memu dobremu Bogu podziękować, że tak miło i ślicznie na świecie.

— Ty jesteś lepsza daleko odemnie, moja Maryniu!

— Ale gdzie tam!... mój złoty, mój dobry paniczu! co ja jestem, co ja umiem, co ja wartam, toć przecież wam winna jestem drogi paniczu! Niech wam Bóg da zdrowie i błogosławieństwo. Ale siadajmy! .. Mówcie paniczu; ja was lubię słuchać, jak lubię gdy z daleka dudkę usłyszę na polu. Ja wolę was słuchać, jak naszego proboszcza, bo ja jego nie rozumiem zawsze, a was paniczu, to choć czasem nie rozumiem od razu głową, ale sercem zawsze zrozumiem, a tak się pomału i i do głowy dostanie.

I siedli na zwykłem siedzeniu swojem. Pomiędzy brzozami, pomiędzy wysmukłemi była jedna staruszka, prababka może całego pokolenia młodego co ją otaczało, która się tak z czasem do ziemi pochyliła, że jednym grubym a omszałym ramieniem w kabłąk po nad ziemią zgiętym tworzyła jakby rodzaj ławki. To było ich ulubione siedzenie; a gdy tam usiedli, to ich zewsząd osłaniały zielone gałązki brzozowe, jakby dziewic rozpuszczone wonne warkocze.

— Ja tobia Maryniu lubię co opowiadać, bo ty lepiej od innych słuchasz. Ty nietylko uchem słuchasz, i nieraz ty lepiej rozumiesz odemnie...

— Ja lepiej?...

— Lepiej Maryniu!... bo jak się nauczysz odemnie piosenki, albo powtórzysz piękne wiersze nasze, to ja dopiero lepiej jakoś sercem pojmę i słowa pieśni na-

szej i myśl, którę poeta tak zgrabnie w swoje wiersze utulił...

— Widzicie paniczu!... to może i prawda, bo te wszystkie cudowne piosnki i wiersze wasze, to je nie w izbie zamkniętej trzeba śpiewać i mówić. Dopiero jak pieśń którą puszczę wolno, jak ptaszka jakiego, tam daleko po rosie, to jak was kocham paniczu, słowa wracają do mojej głowy jakieś wyższe i pełniejsze.

Kazio nic na to nie powiedział, bo się zamyślał, i tak mu jakoś miło a serdecznie zrobiło się w piersi, że sam sobie mową niechciał przerywać miłego marzenia jakie go opanowało, bo dla starszego, tem jest marzenie, czem kołyska dla dziecka, co w spokój i sny złote utula umysł i duszę.

A Marynia zaczęła śpiewać. Miała ten głos prosty, nieuczony, głos wiejski, prawdziwie stósowny do ziemi naszej, bo wolny, jak skowronek pod niebem, puszcza się wolno przez pola, łąki i gaje, niczem niewstrzymany, aż się gdzieś wiatrem po rosie rozleci, lub wróci echem, gdyby chór daleki co z nieba — zda się— leci.

I cóż śpiewała Marynia. W tem cała tajemnica i cały urok ich schadzek. Ona śpiewa nie wiejskie tych stron krakowiaki, ale wszystkie najcudniejsze pieśni naszych wielkich śpiewaków, których ją złoty i kochany panicz uczy. Śpiewa i rozumie co śpiewa. Salonowe lalki mogą znowu nosem krzywić. Ale nasze polskie poczciwe matrony i dziewice nasze zrozumieją mnie. Bo one wiedzą to już dziś, że poezya, im prawdziwsza, tem łatwiej zrozumiana przez serca naiwne i proste. Rymów sztucznie ułożonych, jakby szkiełka kalejdaskopowe, chłopek nasz nie zrozumie, ale zanuć mu dumkę Bohdana, piosnkę Mickiewicza, lub Pola jaką żwrotkę rodzinną, a zrozumie i w sercu umieści własnem. Tak i Marynia!... Dla czegóż by nie miała rozumieć pieśni do Niemna, rzeki domowej, kiedy każde sioło, ma jeżeli nie rzeczkę, to strumyk, to choćby krynicę domową, co mu jest tak drogą, tak serdecznie rodzinną. I Wilię, co wpadła do Niemna darmo tęskniąc za kwiatkami które rosły w koło jej brzegów rodzinnych, i jak tęskni dziewica w pustelniczej wieży na wieki zamknięta — rozumie Marynia, i sercem czuje boleści biednej rzeczki i rozpacz biednej dziewicy. Gdybyśmy tylko chcieli zbliżyć się do ludu pieśnią a poezyą naszych wieszczów, zdziwilibyśmy się, ile tam skarbów czucia spoczywa w piersiach ludu naszego, któreby, z zaklęcia zbudzone tonami rodzinnemi, w sympatyczną zadzwoniły nutę z naszem uczuciem i naszemi myślami. Za nim do suchej przejdziem nauki, zacznijmy choćby od śpiewanej modlitwy do Boga rodzicy, która znajdzie echo tak w piersi chłopskiej jak i w pańskiej piersi.

Owóż Kazio prócz piosnek nieraz przynosił z sobą w torbie myśliwskiej te wszystkie urocze cuda naszej polskiej poezyi, głoszone nam przez wielkich kapłanów narodowej muzy, nam na zbudzenie i na zbawienie. I czytał jej pod brzozami zielonemi cudne utwory Mickiewicza, Bohdana, lub późniejsze Lenartowicza, który właśnie z pól i ziół polskich — zda się — wykradł wszystkie najrodzinniejsze nóty nasze, pieśni ptaszął, chóry kosów polnych z wtórem modlitwy ludzkiej, przez aniołków niebieskich do stóp Boga niesionej. Marynia rozumiała doskonale te wszystkie tony złotych strun, co jej po piersi tak dźwięczyć zaczęły, jakby zaszemrały wszystkie uczuć zdroje, z których Bóg dobry żadnego nie wydziedziczył człowieka!... A u nas w naszym narodzie!... to już pieśnią rozmówisz się wszędzie zrozumiany, i w chacie i we dworze, i na górzystej połoninie, i na stepowej równinie, i w kniejowych ciemniach.

Takie były ich schadzki, i pieśnią a poezyą coraz trwalej wysnuwała się ta nić sympatyczna, co im serca wiązała codzień silniej i silniej.

Tak w błogiem szczęściu i spokoju minął im rok cały, przeszła wiosna i lato, i jesień wreszcie się zaczęła. W jesieni mimo dni pogodnych rzadziej zaczął przychodzić Kazio na miejsce schadzki. Mijały czasem dwa i trzy dni, przez które Marynia nadaremnie wyglądała na pojawienie się Fida. Biedne dziewczę darmo oczy i uszy natężało, i nieraz zerwało się z drewnianej w chacie ławki, gdy po pod okna przemknęła sroczka ciekawa, lub z dala pomiędzy drzewa gaju wiatr przemknął niewyraźnym głosem; zerwała się i siadła znowu smutna, bo to nie Fido przemknął po pod okienko, nie głos to jego zamskomlił w gaju zielonym. A co jeszcze więcej dokuczało biednemu dziewczęciu, zdało się jej, że od czasu niejakiego stary Tomek śledzi jej okiem, i patrzy nań z ukosa, tak jakoś smutnie i żałośnie.

— Paniczu! — zawołała, gdy wreszcie zeszła się z nim znowu.

— Paniczu! — zawołała w chęci zrobienia wymówki, ale ujrzawszy swego złotego panicza zapomniała już o wszystkiem, i tylko uśmiechać się do niego umiała. Kazio się najlepiej tłómaczył, bo jej opowiadał, jak przez te dnie tęsknił za nią. Ale trudna była rada. Z jesienią zaczęły się zjazdy myśliwskie u najbliższego z sąsiadów Brzezin, który był zarazem krewniakiem Kazia, a jako kawaler bogaty prowadził dom otwarty. Pan Michał wymagał od syna, aby pana Władysława odwiedzał jak najczęściej.

— Tu w naszej samotności rdzewiejesz zupełnie — mówił do niego.

Dziewczę słuchało panicza uważnie, lecz gdy jął jej opowiadać jakie tam głośne i wesołe życie u pana Władysława, coś ją za serce ścisnęło, jakby przeczucie złowrogie. I posmutniała biedna Marynia, która jako prawdziwe dziecię ludu wszystkim wierzy wróżbom i wszystkim przeczuciom.

I znowu mijały dnie próżnego oczekiwania. Jedna chwila widzenia się nagradzała Maryni; ale co gorzej, że postrzegła, jako złoty panicz mocno się odmienił. W czem się odmienił, sama nie wiedziała, ale czuła to sercem swojem. Bo i czasem Kazio zdawał się być jeszcze więcej przywiązanym do swej dziecinnej przyjaciołki. Gdy jej mówił o swej parodniowej tęsknocie, nagle siedząc na brzozie porwał i przycisnął z lekka do siebie. Marynia ledwie na to uważała; lecz gdy ten uścisk powtórzyć chciał raz drugi i trzeci, i coraz gwałtowniej ją ciągnął ku sobie, Marynia zdziwiona, bo nieprzyzwyczajona do tego, popatrzyła na niego, i mimowolnie spuściła oczy przed jego wzrokiem ognistym. Nic nie rzekła, jeno powstała powoli z siedzenia swego i... oparłszy się o brzozę drugą, coś smutno i tęskno zadumała. Przez jej piersi łysnęło bolem jakieś światło chwilowe niewyraźne, które też wnet uciekło. I widząc jakby chmury ciemne na czole panicza, powiedziała:

— Złoty mój paniczu!... wyście czegoś tak zmienieni!... to ci panowie bogaci przemienili mi mojego złotego panicza, co go matka moja takiego dobrego wykarmiła.

Chciał się zaśmiać Kazio, ale nie mógł, bo jakieś dziwne podwójne a sprzeczne uczucie piersi mu szarpało. Po chwili pożegnał Marynię jak dawniej, i Marynia się uspokoiła.

Chłopskie dziecko miało słuszność mówiąc, że złotego panicza przemienili bogaci panowie. W ich to towarzystwie zaczął się Kazio ocierać o zepsucie dobrego tonu, które stę tak powoli a koniecznie wciska każdem słowem, pokarmem przesycającym; oddechem nawet salonów wonnym, odurzającym. I razu jednego, którys

z zepsutych pustaków wspomniał o Maryni, bo zasłyszał o tej, wedle nich, choć śmiesznej, ale zrozumiałej znajomości Kazia z chłopską dziewczyną. Jak ta wiadomość została przyjęta przez takie towarzystwo, łatwo zrozumieć!... Kazio się rumienił, ale zaprzeczać temu co w około gadano nieśmiał, bo się wstydził. Niema pochylszej do złego drogi, jak droga fałszywego wstydu. Kto się raz prawdy zaprze przez ten wstyd niegodny, już ją i z serca wyrzuca, jako ciężar niepotrzebny.

— I bardzo cię kocha? -- pytano go po sutym i suto oblanym obiedzie.

— Taka prosta dziewka!...— śmiali się w około— kocha zawsze jednakowo.

Kazio miasto jej bronić, przykre zadrzenie serca zalał pełnym kielichem, który już podobno nie był nie pierwszym, ni drugim.

— No powiedzże nam!.... ty cichopęku;... boże niewinniątko... patrzcie jak się rumieni! ha! ha! ha!...

Więc i czwarty i piąty z kolei wypił kielich, i szatan zepsucia rozmaite mu do ucha szeptał bezeceństwa, a widząc jak z niego się śmieją, by się rehabilitować niejako, na pół już nieprzytomny przebąknął o schadzkach i o roli jaką w nich odgrywa jego pies legawy. Śmiech powstał homeryczny. Nie było mu końca...

— Brawo!... to coś nowego!.... pies mu aportuje kochankę!... a wiesz, żeś powinien dostać przywilej na ten wynalazek!... Fido!... Fido!... pokażcie go! tu na stół!... zdrowie Fida!... i jego pana!... i tej aportowanej dziewki!... — krzyczano i pito!...

Kaziowi się smutno zrobiło, boleśnie!... ale szatan kusiciel coraz mu większe szeptał do ucha bezeceństwa, a gdy pijany usnął, same jakieś przesuwał mu obrazy nięcne.

Za przyszłem widzeniem był jeszcze więcej zmieniony. Takim się wydał przynajmniej Maryni.

— Paniczu! wyście słabi!?...

— Nie!... — odrzekł z gniewnym uporem!... i po chwili porwał ją znowu w pół, i rzekł do niej.

— Maryniu! pocałuj mnie!...

Dziewczyna zdziwiła się, bo do tego nie była przyzwyczajoną, ale niewidząc w tem nic złego, pocałowała go siostry pocałunkiem. Lecz, gdy Kazio przycisnął do jej twarzy swe usta gorące, odskoczyła od niego przestraszona, i serce jej zatłukło w piersi jak nigdy jeszcze:

Kazio się zasępił, i sam zły był na siebie.

— Co wam mój złoty paniczu!...

— Bo ty mnie nie kochasz!...

— Ja nie kocham was!?... — zakrzyknęła na pół z śmiechem, na pół z gniewem. A godziż się tak mówić!... Mój dobry paniczu!... ja was od dziecka kocham!... ja po Bogu i po ojcu was tylko kocham.

— Ja nie takiego chcę kochania!...

— Nie takiego!... ja przecie to co czuję, to co rozumiem, to wam jestem winna paniczu!... Ja inaczej czuć i kochać nie umiem, tylko jak te piękne śpiewają piosenki, i opowiadają wiersze, których się od was nauczyłam.

— To też ja byłem głupi!... i śmieją się ze mnie! — mruknął i chciał poskoczyć ku niej, ale ona się cofnęła, a on zły dodał: Bądź zdrowa!...

— Paniczu!... gniewacie się na mnie!... — zawołała dziewczyna z serdecznym żalem, i serdecznemi łzami się zalała:

Kazio był bliski rozczulenia, ale zęby zacisnął, zawołał Fida i co prędzej uciekł, czy przed szatanem?.... czy przed aniołem stróżem?

Wieczorem była znowu u pana Władysława wielka hulatyka. Weseli koledzy śmiali się jeszcze z aportowanej dziewczyny. Lecz byli i tacy, którzy zdawali się temu niewierzyć, aby od Kazia niecnych jakich dowiedzieć się szczegółów. Kazio się przysięgał, a... by zahartować miękkie serce, pił nad miarę.

Nazajutrz już było z południa, i Marynia smutna nie spodziewała się wcale widzieć swego panicza, gdy w małej okienka szybie coś z lekka zadzwoniło. Obejrzała się, i omal nie krzyknęła z wielkiej radości, gdy ujrzała kudłaty a biały Fida ogonek. Tak jej było spieszno, że ledwie spojrzała na ojca, który na ławie strugał sobie jakąś sprychę do koła, i pokręciwszy się po izbie wybiegła co prędzej. Biedna Marynia!.... Stary Tomek spojrzał na nią, i w oczach jego siwych, pod krzaczystą brwią, łysnął ogień złowrogi.

Na miejscu schadzki stał Kazio sam jeden, ale jaki zmieniony!... Oczy mu się lśniły blaskiem nienaturalnym, a na twarzy miał plamy czerwone; on był już po śniadaniu. Marynia ujrzawszy go, pomna na wczorajsze nieporozumienie, przyskoczyła do niego, i z uczuciem a serdeczną pokorą porwała go za ręce, i pocałowała je jakby ręce ojcowskie.

— Paniczu!... paniczu mój złoty!.... ja przepraszam!.... ja głupia!.... ale Bóg widzi, ze was kocham!... kocham!...

Śliczna była Marynia w tej chwili. Ścisnęło się serce Kazia, i bolesny uczuł wyrzut sumienia. Lecz już było za późno.

— Kocham!... —powtarzała dziewczyna.

Ale nagle ozwał się z po za brzóz śmiech szalony, śmiech zachrypnięty, obrzydliwy. I z po za brzóz wyskoczyli panicze weseli i szczęśliwi, a pospijani nalezycie.

— Brawo! — przemówił za drugich Władysław — wygrałeś Kaziu!... prawdę mówiłeś!... Fido zaaportował ci dziewczynę. A przystojna dosyć!... na honor! jak na chłopkę ma nawet coś! coś takiego!... I patrzcie, jak ją sobie wyedukował; ona go jeszcze w ręce całuje!... Słusznie!... Brawo!...

Śmiech zdawał się coraz głośniejszy, i rozpustna rzesza obstąpiła wiejską dziewczynę. Marynia przez chwilę tak zdumiała, że słowa wyrzec nie mogła; stała tylko blada, i oczy wypatrzyła osłupiałe. Lecz wnet poczerwieniała krwią co strumieniem pobiegła jej do głowy. Oczy łyskawicami zalśniły. Powłoka idealniejsza marzeń tysiąca, w jakich żyła tak długo, spadła jej nagle z oczu. I zbudziło się wiejskie namiętne dziewczę; Tomkowa córka wzięła się pod boki, i spojrzała na śmiejących się z pogardą i gniewem...

— Precz odemnie!... — krzyknęła i przystąpiła do swego panicza tak blisko, że się mu aż w oczach zaćmiło.

— I to wyście to zrobili?... wy paniczu!... wstyd wam!... mnie boli serce!... ale ja was przestałam kochać!... boście gorsi od nich!...

— Doskonała dziewka!... jeszcze się gniewa!... ależ to na honor bardzo dramatyczne!...

— Dziewczyno chodź z nami!... na honor! chodź z nami!... to myśl wyborna!... bierzmy ją!... — krzyknęli i otoczyli ją w koło.

Ona nieuważała tego nawet, bo okiem łyskającem patrzała tylko na panicza swego.

— Ja was nienawidzę!... — mówiła dalej, i porwała się za piersi, bo czuła jakby jej coś w sercu się urwało.

— A ja się zemszczę! ... — ozwał się głos gruby i gwałtowny; i tuż przy Kaziu stał stary Tomko, który przeczuciem gnany wyszedł za córką, i był świadkiem tej całej sceny.

— Ja się zemszczę!. . . — powtórzył. — Za mleko z piersi matki, oddałeś wstyd i hańbę córce!. . . Chyba bym nie żył, żebym się nie zemścił. . . Bogu to memu przysięgam!. . . A wy panowie!. . . precz!. . . to moja córka!. . . czy może jak złodzieje i rabusie chcecie ją porwać!. . . bo to tylko chłopska córka!. . . a co chłopskie to wasze!. . . ale tak nie będzie zawsze.

Scena cała była tak przerażająca, a postawa starego Tomka była tak poważna i imponująca, że panowie pogłupieli w pierwszej chwili, a nawet i wstydzili się może, i co prędzej zwrócili ku bryczkom, które stały na dole, Kaziowi serce pękało z żalu; został dłużej, i niezważając na groźby starego Tomka, w twarz tylko Maryni patrzał, i z drżącym głosem rzekł do niej z cicha:

— Maryniu!. . .

— Już jej niema!. . . — odpowiedziała, i wskazując na piersi, zrobiła gest, jakby co z nich wyrzuciła. Już ją odrzuciłam precz!. . .

I Kazio odszedł ze spuszczoną głową!. . .

— Maryniu moja! — mówił stary — tyś niewinna!.... to ja stary winien, że jeszcze tym panom wierzyłem!... bo się mi plątały po pamięci stare jakieś podania. Ja powinienem był przewidzieć to. . . i miałem przeczucie!. . . Przepraszam ciebie moja Maryniu! ty mój gołąbku serdeczny!. . . Ale że się zemszczę, to się zemszczę!. . . Maryniu bądź spokojną, i chodź ze mną!...

— Spokojną!. . . — powiedziała Marynia, smutnie kiwając głową!. . . — A szczęście moje gdzie?. . .

— Zapomnij!. . .

— Serce i potok ostrzegać daremnie!. . . — zaszeptała wiersze z pieśni o Wilii, co jej przyszły na pamięć, i łzy, gorące a kropliste łzy puściły się z óczbiednej dziewczyny.

Smutno odtąd było w chacie starego Tomka. Stary siedział zasumowany i ciągle coś myślał, a gdy wyszedł, to do karczmy zachodził, gdzie nieraz do późna jakieś były konszachty to ze swoimi, to z jakimiś cudzymi, co się snuli po kraju. Marynia ledwie ócz niewypłakała, a choć po kilku dniach przestała płakać, twarz jej pobladła okropnie, a z zapadłych ócz wyszczerzał się ból serdeczny.

Smutno było w chacie starego Tomka, ale wnet jeszcze smutniejsze miały nastąpić czasy.

(Dok. nast.)

Wrażenia Literackie.

(Dokończenie).

Skończywszy rozbiór trzech mistrzów w ich trzech arcydziełach—które staraliśmy przedstawić czytelnikom naszym w świetle najjaśniejszem, jakkolwiek przekonani jesteśmy, że rozbiór ten, bardzo wiele stracić musiał w streszczeniu naszem, tak na głębokości myśli, jak na jenialnem ich oddaniu — wielka powieściarka francuska przebiega krytycznie w pełnej szczerocie swoje własne powieściowe utwory. Jest to studyum i ciekawe i pożyteczne ze wszech miar, bo wyświeca nam, niejako psychologicznie, nietylko rodzaj i doniosłość talentu autorki, ale wprowadza nas do najtajniejszej pracowni, i widzimy jak się jej myśli, cele i dążenia wyrabiały i w głowie i w sercu.

Aby dać wyobrażenie o tem całem tak zajmującem studyum streszczenie nie wystarczy, bo z jednej strony będzie zawsze ciemne i niedostateczne, a z drugiej strony choćby najkrótsze przejdzie o wiele zakres prostego sprawozdania. Trzeba by chyba całą przetłómaczyć książkę. Dla tego też przestaniemy na tem, że z własnych autorki słów wykażem stanowisko, z jakiego się zapatrywała na to studyum swoje, i co właściwie zamyślała, biorąc się do niego.

„Większą część dzieł moich natchnęła szczera chęć oświecenia ludu tak co do jego obowiązków, jak co do praw jego. Inne, pierwsze mianowicie były jeno ozwaniem się mimowolnem duszy mocno wzruszonej, dotkniętej nieraz powątpiewaniem i brakiem odwagi. Nie spieszyłam się wówczas wyrzekać stanowczo, bom się bała przeklinać ludzkość, którę kochać czułam potrzebę. Z wiekiem przychodziła refleksya, i rozświecało się pomału w tym chaosie wzruszeń. Instynkta moje były — mogłabym powiedzieć — rewolucyjne, w tem znaczeniu, że wszelka niesprawiedliwość była dla mnie antypatyczną, a silne poczucie potrzeby chrześciańskiej słuszność zapełniało piersi moje od lat najmłodszych. Zaufanie zaś do własnych instynktów ustalało się we mnie pomału, o ile wzrastała pewność, że postęp jest żywotnem prawem ludzkości, i w miarę, jak czułam ten postęp w sobie samej. Ten tylko czuje i potrafi ująć życie drugich, kto w sobie samym uczuje, że żyje. To życie drugich karmi niejako i rozprzestrzenia nasze własne życie. I tak, bez ciężkich usiłowań, bez wielkich studyów przyszłam do tej jasności przekonań, której dostąpi każdy szczerej duszy człowiek, niepotrzebując nawet po temu wyższego polotu. Czem ja jestem, świat cały być może; do nadziei, jaką ja mam, każdy przyjść może. Idzie tylko o to, aby kochać prawdę, a mam to przekonanie, że świat cały prawdę chce znaleść.

Nowych prawd nie odkryłam w dziełach moich. Nigdy o tem nie myślałam, chociaż obwiniano mnie, szydząc w złej wierze, że jak wielu innych chciałam się bawić w doktrynerstwo i w sekciarstwo. Rozbierałam wedle możności wszystkie idey mego czasu. Te mi między niemi były drogiemi, które mi się wydały prawdziwemi i szlachetnemi: może tylko nie wszystkie zrozumiałam z podawanych środków praktycznych, czy że były ciemne, czy że nieumiałam ich zrozumieć! Alem się nie męczyła nad tem, przekonana, że dosyć będę miała do czynienia, gdy zdolności moich użyję, rozwijając w sobie samej poczucie sprawiedliwości i miłość bliźnich. Miałam zawsze usposobienie artysty, i niech sobie mówią co chcą, nie chciałam nigdy być czem innem, jak tylko artystą. Ci, co mówili, że niema we mnie żywiołu i treści na filozofa, nie urazili mnie wcale; ci zaś, co rzekli, że moje artystyczne usposobienie sprzeciwia się we mnie rozwojowi praw społecznych i miłości prawd odwiecznych, których filozofią jest chrześcianizm — powiedzieli tylko sofizm dziecięcy i nic więcej. Czyż malarzom z epoki odrodzenia zarzucano kiedykolwiek, że chcą być teologami dla tego, iż malowali sceny święte?... Czyliż malarze flamandcy mieli pretensyę uchodzić za uczonych naturalistów, dla tego, że studyowali i rozumieli naukę świata i cieniów?... Jestże możliwym artysta, któryby się oderwał od rzeczy boskich i ludzkich, któryby nie odbijał w utworach swoich tego wszystkiego w co wierzono za jego czasów, i był obcym temu wszystkiemu w pośród czego żyje i oddycha?... Zaprawdę niema pedantyzmu więcej graniczącego z bezsensem zupełnym, jak ta cała teorya *sztuki dla sztuki*, teorya, która niczego nie dowodzi, na nic nie odpowiada, na niczem nie spoczywa, i której nikt praktycznie nie przeprowadził, ani między tymi co z nią wyjeżdżali, ani pomiędzy tymi co przeciw niej walczyli.

Sztuka dla sztuki, jest to słowo próżne na wewnątrz, najzupełniej fałszywe, na którego zdefiniowanie niemało

próżnego stracono czasu, dla tej bardzo prostej przyczyny, że trudno znaleść sens tam, gdzie go niema.

Każcie poecie, ale to poecie w najwyłączniejszem tego słowa znaczeniu, aby tworzył wiersze, same tylko piękne wiersze, bez cienia jakiejś myśli filozoficznej, a zobaczycie, że nie potrafi, a jeżeli potrafi, jakie to będą te wiersze. Weźmy utwor najromantyczniejszy, najmocniej opisowy któregokolwiek z przewódców tej doktryny: *sztuka dla sztuki*, a zobaczymy czy się obejdzie bez zwrotu do ludzkości, zobaczymy jak poczucie i wspomnienie jej wielkości lub upadku ożywiać i cieniować będzie obraz cały.

Inaczej być nie może. Gdy Wiktor Hugo powiada: *morze było w rozpaczy*, daje on duszę morzu, duszę burzliwą, duszę poety, duszę zbiorową ludzkości.

Starzy mówili: *Thetys wpadła w wściekłość.* I oni uosobiali burzę w namiętności, burzę żywiołów. Bo niema poety, niema artysty, w którymby się nie odbiło echo ludzkości w jej wzruszeniach i skargach, w jej zapale i rozpaczy.

Jam więc tylko czyniła com mogła, jak czynili przedemną i w koło mnie, i czynić zawsze będą wszyscy artyści.

Zawsze i wszędzie kłócono się z tymi, co za nowościami gonili, wedle zdania ortodoxów; to jest, którzy wierzyli w postęp, i chcieli walczyć z błędami i nadużyciami swego czasu.

Za dawnych czasów palono ich i zabijano. Dzisiaj wysyłają na wygnanie, zamykają do więzień, jeżeli to są mężczyźni; szydzą i hańbią, jeżeli to są kobiety. Znosić to bardzo łatwo, jeżeli jest wiara prawdziwa. Znosić prześladowania!... to rozkosz nawet — wiercie wy gardziciele przyszłości — rozkosz prawdziwa dla tych co w tę przyszłość wierzą. Szkoda więc trudów waszych. Ludzie będą się wiecznie uczyć, i wiecznie wrogom udzielać nauki, od starego lutnisty ze swą starą pieśnią, aż do pisarza czasów dzisiejszych w nowe idey zbrojnego.

Każdy czas miał swoją prawdę, wypowiedzianą przez ludzi tej epoki. Umysły syntetyczne zbierały te prawdy w pewne formuły doktrynerskie, które się stawały przedmiotem mnogich sporów, ale które choć nie zupełne zostawiały po sobie jasne światła smugi.

Filozofie, historycy, politycy rzucają wiarę i światło pełną garścią wtenczas nawet, gdy się mylą, bo nawet pomyłki wielkich inteligencyj są nauką dla tych co umieją prawdy szukać i ją wydobywać.

Po nich dopiero przychodzą artyści, i sieją zboże pomieszane nieco z próżnem ziarnem. Ale te próżne ziarna zmiecie czas, gust, moda, a ziarno pszenicy zostanie. Przyszłe pokolenia uśmiechną się zapewne na widok tej ilości słów, fikcyi, *maniery* jakiej używano do wypowiedzenia rzeczy zwyczajnych; ale nam przebaczą, dostrzegłszy szczerej a ważniejszej myśli w głębi prac naszych, i po błędach właśnie naszych zrozumieją jaką my staczaliśmy walkę — dla nich, bo dla przyszłości.“

Słowa te dają wyobrażenie o ogólne m stanowisku z jakiego autorka własne studyuje utwory. Jak zaś teoryę — że tak po wiemy — przeprowadza w praktykę przy szczegółowych rozbiorach, by zrozumieć, przebiegnijmy w streszczeniu wybrany na los szczęścia rozbiór którejkolwiek powieści; i na tem ukończymy sprawozdanie nasze.

Posłuchajmy co powiada o *Johannie* wydanej r. 1844.

„Johanna, jest to pierwsza powieść napisana do felietonu. Było to wówczas, gdy weszły w modę powieści felietonowe, w których królowali Dumas i Eugieniusz Sue, mistrzowie w zakończeniu każdego rozdziału na jakiejś chwili, ciekawość wzbudzającej. Ja idąc w tej mierze za Balzakiem, niemiałam do tego talentu... Celem romansu jest odmalowanie człowieka. Z jakiegokolwiek weźmiemy go otoczenia, czy w walce z własnemi myślami i namiętnościami, czy w walce z światem zewnętrznym, jest to zawsze człowiek wystawiony na wszystkie życia wzruszenia i życia burze.

W Johannie po raz pierwszy próbowałam powieści ludowej. Dziewica Holbeina uderzała mnie zawsze jako typ tajemniczy dziewczyny wiejskiej, marzącej, poważnej i prostej. Jest to nieskończona czystość duszy, a zatem uczucie głębokie w niepewnem marzeniu, gdzie się myśli jeszcze nie formułują. Lecz gdzież znaleść tę niewiastę przedwiekową, tę dziewicę wieku złotego, w środku dzisiejszego społeczeństwa. Od chwili, gdy umie czytać i pisać, nie będzie ona mniej wartą, ale już jest inną, już ją inaczej opisać należy.

Szukałam jej zatem na polach wiejskich, i to nie na wiejskich nawet, ale w puszczy, na stepie jałowym, na pierwiastkowej ziemi, noszącej ślady naszej najdawniejszej cywilizacyi. Takie zakątki swięte, gdzie jeszcze pług ziemi nie orał, gdzie przyroda jest dzika, wielka lub posępna, gdzie jeszcze żyją podania, gdzie człowiek zachował jeszcze typ dawnych Gallów, i swe wiary fantastyczne, nie są tak rzadkie we Francyi, jak się zdaje. Francya jest jeszcze pełna tych przeciwieństw cywilizacyi i barbarzyństwa i t. d.

Otóż tę dziewicę z Gallów czasu, ten typ Holbeinowski, tę Johannę z Arku nieznaną, chciałam utworzyć z rysów w mej głowie pomieszanych, jako całość zupełną. Lecz mi się nie udało jak zamyśliłam. Już to po części musiałam się spieszyć dla wymagań felietonowych, już to nie śmiałam jeszcze — jak to później czyniłam — typowi mojej myśli nadać stósowne tło, to jest otoczyć go wyłącznie odpowiedniemi postaciami wiejskiemi, któreby harmoniowały z dziewicy dosyć ograniczonemi pojęciami i uczuciami. Łącząc Johannę z typami naszej cywilizacyi, czułam, że zmniejszam prawdziwą jej wielkość, jakę sobie pierwotnie wymarzyłam. Utworzyłam powieść przeciwieństw samych, bo i w krajobrazie i w obyczajach, i w stylu nawet, który mi zawadzał. Ten wzięty przezemnie język nowy, nie malował ani tych myśli, ani tych postaci, które widziałam własnemi oczyma, a zrozumiała własnem marzeniem. Zdało mi się, że zamazuję oliwą malowidła naiwne dawnych mistrzów, że z Homera tworzę rebusy, że starożytne nagości bezcześcżę pokrywając różnemi draperyami. i t. d.“

To naiwne i szczere opowiadanie autorki wystarczy nam, by ocenić wartość tych jej studyów. Ale w tym niedługim ustępie, jak w tem wszystkiem co jest prawdziwe, znaleść jeszcze można wielką naukę, która i nam Polakom piszącym bardzo przydaćby się mogła. Uwagi o Johannie nie zawadziłoby przeczytać i sumiennie przestudyować tym, co chcą pisać dla ludu. A czas dzisiejszy jest po temu. (*9.*) [J. Dunin?]

Rzecz Artystyczna.

TEATR.

W zeszłym tygodniu najważniejszem zjawieniem na scenie tutejszej był *Syrokomli* dramat historyczny w 3 aktach: *Kasper Karliński*, po raz pierwszy w Krakowie odegrany. Jak wszystkie prawie utwory dramatyczne naszego nieodżałowanego piewcy litewskiego, *Karliński*

daleko lepiej się wydaje w czytaniu niżeli w przedstawieniu. Pochodzi to ztąd, że zwykle w nich więcej jest poezyi w ślicznej dykcyi, niżeli życia w działaniu; więcej liryzmu niżeli dramatyczności. Jakkolwiek nie pochwalamy zbytniej efektowności w dramacie, to i brak artystycznej budowy, w silny węzeł dramatycznego interesu ujętej, jest wadą, powtarzającą się zbyt często u Syrokomli. Dla tych nawet, coby z dziejów nieznali bohatyrskiego Karlińskiego i tragicznego wypadku jaki uderzył w jego serce ojcowskie, po pierwszym zaraz akcie wypadek ten bardzo jest przewidzianym, że... mimo krótkości aktów nadzwyczajnej, widzowie czekają bez wszelkiego zajęcia rychło-li się skończy. W pierwszym bowiem akcie widzimy synka Karlińskiego, chłopię serca wzniosłego, marzące jeno o przeznaczonem mu męczeństwie. Ojciec broni twierdzy Olsztynu, otoczonej przez stronników rakuskiego pretendenta. Stadnicki, pogardzony kochanek Kasprowej Karlińskiej, chwyta to chłopię i odsyła do obozu. Bezlitośni Maxymiliana stronnicy z Niemcem na czele, (bo na karb Niemca przynajmniej policzył autor ten czyn barbarzyński) dają wiedzieć Karlińskiemu, że jeżeli się nie podda, i strzeli do nich z fortecy, oni się synem na przodzie niesionym zasłaniać będą. Karliński wie przeto, że strzelając mierzy w piersi ukochanego chłopięcia, ale pełen ducha bohatyrskiego, ojczyzny dobro przenosząc nad własne uczucia rodzinne, własną ręką zapala śmigownicę, i wraz z wrogami własnego zabija syna. Oto jest treść całego dramatu. Wiersz wszędzie gładki i piękny, cała dykcya poetyczna, ale prócz głównej części przytoczonej wady braku interesu i działania, działanie to przeciąga się w końcu rozwleklej, niż potrzeba, przez ładnie wypowiedziane, ale zanadto długie wahanie się biednego ojca. Wielkie takie chwile odbywają się zwykle krótko; łyskawica myśli i piorun czynu. Rozumiemy ogrom walki odbywającej się w sercu ojca, mającego strzelać w piersi własnego dziecka, ale ta walka jest olbrzymia swojem znaczeniem, nie długością czasu przez jaki trwa. Owóż Karliński zanadto długo gada, choć mówi bardzo pięknie. Bohatyrstwo czynu niknie w patetyczności słów. P. *Królikowski* oddał całą rolę *Karlińskiego* znakomicie, scenę tę odegrał z wielkiem czuciem i tę, o której mówimy, zbytnią patetyczność ożywiał jak mógł zapałem deklamacyi. Mimo to, scena ta zepsuła tę trochę efektu, jaki by ten dramat mógł uczynić. Panna *Biedrońska* odegrała to chłopię marzące z czuciem, mianowicie w 2 akcie, doskonale. Pna *Hofman* mimo dobrej gry w ogóle była może za zimna w roli matki. Przymuszeni jesteśmy dodać uwagę, która się nam już kilka razy natrącała, co do zaniedbania w stósowności kostyumów. Widzimy ciągłe prawie anachronizmy, a nieraz kostyumowe cudaki. Takim był ubiór pana *Bendy*, który biodra opasał wiszącą siatką rybacką, co go przy siwej brodzie czyniło raczej do śgo Piotra jako rybaka podobnym, niżeli do rycerza. Siatka ta miała przedstawiać siatkę rycerską, lecz przybierający taki kostyum, powinien był wiedzieć, albo niewiedząc dowiedzieć się, że siatki rycerskie były to koszule druciane od szyi zawieszane, nie zaś od bioder wiszące włoki do łapania ryb.

Grano także *Żebraczkę*, dramat francuski pełen naciąganych gwoli efektowi niespodzianek, awantur i okropności, między któremi figurują i kąsająca wilczyca, i oślepiająca łyskawica, i pojedynek, i ukradzenie dziecka itd. Nie jest wszakże ten dramat bez wszelkiego interesu, i podnosi się nawet w swej wartości grą głównej roli żebraczki, w której odznacza się na scenie polskiej pani *Aszperger* mistrzowskiem jej oddaniem. Pani *Bendowa* w tej roli robiła co mogła, a że więcej nie zrobiła, to nie wina jest jej chęci, zapewne najlepszych. Raziła głównie monotonność, cieniowana tylko czasem dość fałszywą: bo śpiewną deklamacyą, w której czucia prawdziwego nie można się było dopatrzyć. *Córeczka* mała pani Bendowej grała rolkę małej dziewczyny wybornie. Oklasków uprzejmych i przyjaznych ze strony jednej części publiczności nie brakowało wcale. Lecz jesteśmy już do tego przyzwyczajeni. P. *Królikowski*, choć rolę męża grał doskonale w całem tego słowa znaczeniu, nie miał jakoś szczęścia do takich aplauzów, bez jakich zresztą prawdziwy artysta obejść się może, i chętnie się obchodzi.

Panna *Marya Łapińska* występowała po raz drugi, i to w dwóch sztukach jednego wieczora; w *Doktorze Robin* jako sentymentalna, w Garriku zakochana, Angielka; i w *Ślubach Panieńskich Fredry* jako *Aniela*. Drugi ten występ nie wiele zdołał zmodyfikować zdanie nasze pierwej wyrzeczone. W obu rolach widzieliśmy jeno dobre wyuczenie się roli na pamięć. Pna Ł. ma jeszcze zanadto w pamięci część — że się tak wyrazimy — machinalną szkoły jaką przebyła, szkoły, na którą ze stanowiska deklamacyi mianowicie nie moglibyśmy się zgodzić zupełnie. Jest to deklamacya zanadto deklamująca, urywana, istna siekaninka słów i peryodów, robiąca wrażenie nieutartej dobrze grudy. Grze pny Ł. brakuje naturalności i swobody. W Doktorze Robin w grze jej przeważała nieprzyjemna patetyczność, a w Ślubach panieńskich monotonna deklamacya zastępywać miała żywe uczucie, które jest główną cechą w roli Anieli. Dodamy że w ruchach swych, mimo pięknej postawy, pna M. Ł. jest zanadto powolna, sztywna, drewniana prawie. W roli Anieli wszystkie najcudniejsze ustępy przemkły bez śladu. Jednem słowem, wedle zdania naszego, pna M. Ł. potrzebuje jeszcze studyów ogromnych, i wcale innej szkoły, by się w niej jej zdolności rozwinąć mogły na drodze naturalnej, nie zaś sposobem chwilowej sztucznej galwanizacyi instrukcyjnej. W Ślubach panieńskich występowała także po raz pierwszy siostra pny Maryi, pna Ewa Łapińska, w roli Klary. Zdało nam się, że ma więcej od siostry życia i ruchliwości, ale za to mniej szlachetności w ruchach; ma przytem głos nieco za piskliwy. O ile sądzić można po pierwszym występie, pna Ewa Ł. mogłaby się przydać do ról subretek, na których przy prawdziwym talencie można się przecie i dalej kształcić. Przyznać należy nakoniec, że obydwie panny Łapińskie nie łatwe miały zadanie zastąpić nam w Ślubach panieńskich ppny Biedrońską i Safir, które te role odgrywają wybornie. Pna Ewa Ł. nie może nam zastąpić pny Safir, a tem ci mniej pna Marya Ł. pnę Biedrońską. Co do reszty artystów grających tego wieczora, p. *Królikowski* rolę *Garrika* w Doktorze Robin oddał jako prawdziwy artysta z wielkiem życiem i humorem. Widzieliśmy na prawdę wielkiego aktora angielskiego godnie przedstawionego. P. *Wolski* w Ślubach panieńskich grał wybornie, i był rzeczywiście tym złotym a poczciwym stryjaszkiem, jakiego Fredro chciał przedstawić. Tym razem pilnował się nawet doskonale w swej zbytniej czasem ruchliwości. Pan *Benda* grał Gustawa nieźle może, gdyby się mógł wygadać, ale u niego niknie zwykle połowa tego, co ma słyszeć publiczność.

Sprostowanie:

W nrze 29, na str. 389, w szpalcie 1wszej, wierszu 12tym od dołu, zamiast: *gdyby wola jaka*, czytaj: *gdyby wole jakie* itd.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk. **Antoni Rother.**